

Zofia Brudzińska

Wspomnienia : (lata 1903-1936)

Niepodległość i Pamięć 1/1, 159-182

1994

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Zofia Brudzińska (siostra Jana)

Wspomnienia (lata 1903-1936)

1. Niektóre wspomnienia z lat dziecińczych.

Urodziłam się w Warszawie 11 stycznia 1899 r. Rodzice moi - Leon i Maria z domu Piekarska. Chrzest Święty miałam w kilka dni po urodzeniu w katedrze Św. Jana w Warszawie, bo była to parafia moich rodziców. Najdroższy dom był na rogu ulicy Podwale i placu Zamkowego.

Przez okna mego pokoiku dobrze było widać pomnik Króla Zygmunta. Stał twarzą zwrócony na wschód. W rękę trzymał krzyż, a w drugiej miecz. Od dziecka wiedziałam, że ten pomnik to symbol Polski, "Polska - to chrześcijaństwa przednia straż".

Rok 1903. Pewnego dnia w domu było wielkie zmartwienie, bo czteroletnia Zosia zginęła. Po wielu poszukiwaniach znaleźli mnie w jednym z olbrzymich kościołów Warszawy na najwyższym stopniu przed tabernakulum. Wiedziałam, że tu mieszka Bóg. Odtąd co dzień chodziłam tam z Ciotunią. Mama umarła, kiedy miałam kilka miesięcy. Wychowywał mnie Ojciec i jego siostra, ukochana Ciotunia, była dla mnie najlepszą matką.

Rok 1905. Wielki pochód narodowy żądający od moskiewskiego gubernatora wypuszczenia Polaków więzionych na Pawiaku. Ojciec niósł mnie na rękę. Patrzyłam na jego twarz zalaną łzami wzruszenia. Ojciec prawie krzyknął: "Nie patrz na mnie ... tylko tam!". Zobaczyłam wielki krzyż i po raz pierwszy polski sztandar z białym orłem na amarantowym polu. W tym krzyżu, w tym orle, we łzach Ojca zobaczyłam, zrozumiałam Polskę.

Setki Kozaków z nahajkami w rękach rozpedzały pochód i aresztowały wielu uczestników.

Rok 1906. Wojna rosyjsko-japońska. Zabrakło Ojca. Mobilizacja, Ojciec poszedł na front. O, jakie to było wielkie cierpienie!

Rok mojej Pierwszej Komunii Świętej to rok wielkiej żałoby narodu. To rok strasznej zbrodni na Jasnej Górze, kradzieży klejnotów i koron z obrazu Matki Bożej, Królowej Polski. Pierwszą Komunię Św. miałam w dzień koronacji obrazu Matki Bożej Jasnogórskiej nowymi koronami od Ojca Świętego. Zgodnie z intencją dorosłych ta Pierwsza Komunia Św. dzieci miała być wynagrodzeniem Bogu i Matce za zbrodnię znieważonego kapłaństwa i Matki Bożej. W naszym domu był post i żałoba, krzyż i wszystkie święte obrazy zasłonięte zostały czarną krepą, jak w Wielki Piątek. Nam, dzieciom, nakazano modlić się o nawrócenie i wieczne zbawienie świętokradcy i zbrodniarza. I byłam temu wierna. Miałam tę wielką radość, że po wielu latach tam, w Rosji, dowiedziałam się, że ten nieszczęśliwy człowiek w wielkiej pokucie i skrusze w kopalniach Syberii życie zakończył.

Rok 1914. Wielka wojna światowa. W kościele Św. Krzyża w Warszawie w czasie nabożeństwa ksiądz ogłosił, że zbiórka na tacę jest przeznaczona dla ofiar wojny. Po kościele przeszedł szept, że to dla unitów Podlasia i Chełmszczyzny, których popędzono na Sybir.

Nie miałam ani grosza, ale miałam na palcu pamiątkę po Mamie - jej zaręczynowy złoty pierścionek z niezapominajką z turkusami i z perłą w środku. Kochałam ten pierścionek jak relikwię, niebieski kwiatek jak oczy Mamy, perłę jak ostatnią jej łzę. Dla ukochanych sercu unitów bez wahania położyłam go na tacy. Wiem, że to był dzień moich zaręczyn ze Wschodem.

Moja spowiedź generalna z całego życia. Kochałam i rozczytywałam się w Encyklopedii Orgelbranda i w wielu starych książkach. Między innymi przeczytałam, że jakaś wielka grzesznica, tknięta Łaską Bożą odbyła spowiedź generalną z całego życia i poszła na pustynię pokutować. Tam umarła, a zaraz po śmierci aniołowie jej duszę zanieśli do nieba.

Zaprzagnęłam nieba i postanowiłam odbyć taką spowiedź generalną. W jakiejś innej książce znalazłam rachunek sumienia do spowiedzi generalnej. Nauczyłam się więc na pamięć wszystkich grzechów z wyjątkiem grzechów małżeństwa. Myślałam sobie, że Pan Jezus wziął na siebie grzechy całego świata, więc ja mogę też wziąć na siebie grzechy, których nie popełniłam. I tak się spowiadałam. Do tej spowiedzi poszłam do kościoła na Tamce. Spowiadał tam ksiądz Łubiński, postrach wszystkich dzieci, bo nie miał nosa, tylko otwarte nozdrze. Cała Warszawa mówiła, że jest to wielki święty, ale bardzo srogi, krzyczy i bije. Spowiadałam się tak, jak było w rachunku sumienia generalnym. Ksiądz gniewał się strasznie, krzyczał na mnie głośno. Trzęsłam się ze wstydu i strachu. Kiedy odchodziłam od konfesjonału, kobiety pokazywały na mnie, śmiały się i mówiły głośno: "Taka młoda dziewczynka, a już taka wielka grzesznica". Uklękałam przed ołtarzem, żeby odmówić pokutę. Przypomniały mi się jeszcze grzechy z tego rachunku sumienia. Jeszcze się trzęsłam ze wstydu i strachu i myślałam: "Nie, więcej do tego księdza nie pójdę", ale w duszy cichy szept miałam, że trzeba wypowiadać się do końca. Wróciłam i powiedziałam te zapomniane grzechy. Usłyszałam wtedy cichy, pełen stodyczy głos: "O, moje dziecko, jak bardzo kocha cię Bóg. Bądź Mu zawsze tak wierna, jak dzisiaj". Po tej spowiedzi ślubowałam Bogu, że całe moje życie będzie dla niego, do Niego tylko należę.

Rok po tej spowiedzi i po tym ślubowaniu byłam już w Rosji i to wspomnienie było radością, siłą i mocą w ciężkich latach wygnania.

Rok 1915. Klasa maturalna. Na jednej lekcji języka polskiego nauczycielka poleciła napisać wypracowanie na temat: "Co będę robiła, kiedy skończę szkołę". Przed oczami mej duszy dziwny, nie znany mi obraz. Dalekie, dalekie Kresy Wschodnie i na nich polska szkoła. Jestem nauczycielką - uczę. A nad tą szkołą krzyż i polski narodowy sztandar z białym orłem i napisem: "Polska - to chrześcijaństwa przednia straż". Obraz był cudny, jak samo szczęście, a czegoś straszny. Patrzyłam i z oczu płynęły mi łzy. Opisałam to, na co patrzyły zachwycone oczy.

Po kilku dniach Pani oddała wypracowania. Mego zeszytu nie było. Później oddała mi go w kącie korytarza mówiąc, że nie mogła oddać przy klasie, bo w tym wypracowaniu widziałam moją duszę. Dodała także: "Jaka dziwna z ciebie dziewczynka, powiedz mi, skąd ci takie myśli do głowy przychodzą?" Zawstydyłam się i szepnęłam nieśmiało: "Nie wiem skąd, proszę Pani Profesorki". Niedługo potem ten obraz stanął mi jeszcze raz przed oczami. Tak samo cudny, a czegoś straszny.

Rok 1915. Ojciec powołany do wojska z rezerwy, na ciężkie roboty w głąb Rosji. Po lekcjach w szkole chodziłam udzielać korepetycji, bo w domu często brakowało pieniędzy. Zarabiałam na chleb dla domu. Często wracałam do domu dopiero o godzinie 10 wieczorem.

Miłość i tęsknota za Najświętszym Sakramentem były tak wielkie, że co dzień wracając klęczałam przed drzwiami zamkniętych kościołów o tej późnej porze.

2. Na tułaczkę, na niedolę...

Wielka wojna światowa, rok 1915, lipiec. Front wojenny pod Warszawą. Zapowiadają oblężenie Warszawy przez wojska niemieckie. Kto nie mógł się wykazać żywnością na pół roku, temu kazano wyjeżdżać na wygnanie do Rosji. Żegnałam Warszawę. Obiegałam wszystkie kącki starej Warszawy, tu się urodziłam i wychowałam. Na kolanach całowałam kamienne pamiątki Starego Miasta. Poszłam i do ukochanej polskiej szkoły, do gimnazjum. Ucałowałam szkolną ławkę i katedrę profesorów i ze ściśniętym sercem pożegnałam ją już na zawsze.

Wyjechaliśmy z Warszawy olbrzymim pociągiem moskiewskim. Z okien pędzącego na wschód wagonu patrzyłam na Warszawę tak piękną i tak kochaną. Król Zygmunt stał twarzą zwrócony do wschodu z mieczem i krzyżem w dłoni i mówił mi: "Pamiętaj, żeś Polką, a Polska to chrześcijaństwa przednia straż". Ale i on zniknął wkrótce i tylko było słychać płacz wielki tysięcy wywożonych rodzin. Wyjeżdżałam z Ciotunią, staruszką już, i ze starszym ode mnie o 2 lata bratem Jankiem.

W tym pociągu wygnańczym było kilku kapłanów też z Warszawy. Nie opuścili oni swoich owieczek. Cały pociąg modlił się śpiewając "Kto się w opiekę" i "Serdeczna Matko".

Rok 1915. Samara. Duże miasto gubernialne nad Wołgą. Byłam w Samarze, ale dusza chyba została tam w kraju. Nie mogłam jeść ani spać, godzinami siedziałam nad brzegiem Wołgi i łudziłam się, że są to fale Wisły. Lekarz powiedział zmartwionemu Ojcu, że jest to nostalgia za Ojczyzną, i on nic na to poradzić nie może. Ale łzy Ojca i Ciotuni i ich prośba: "Jeśli możesz, otrząśnij się" - pomogły. Zabrałam się do pracy. W Samarze, tak jak i we wszystkich miastach europejskiej Rosji, był kościół katolicki. Jakie to było szczęście: polski katolicki kościół, Pan Jezus ukryty w Najświętszym Sakramencie, ołtarz Matki Bożej Królowej Korony Polskiej, ksiądz proboszcz, kilku kapłanów z wychodźstwa - to było wszystko tak, jakby w kraju, w Warszawie. Było bardzo daleko, ale prawie codziennie biegłam tam i godzinami klęczałam przed Największym Sakramentem. Pasterka, rezurekcja. Wszystko we łzach tysięcy serc. W Samarze, tak jak we wszystkich gubernialnych miastach Cesarstwa Rosyjskiego, powstał Komitet Wychodźstwa Polskiego, a w nim Polska Macierz Szkolna. Mój Ojciec był członkiem tego komitetu. Pytano go, czy mi pozwoli, a mnie - czy zechcę jechać aż na Syberię jako nauczycielka do polskiej szkoły we wsi Siergiejewsk, gdzie wywieziono wiele polskich rodzin.

Miałam maturę polskiego gimnazjum prywatnego z odchyleniem pedagogicznym, a więc prawa nauczycielskie. To było bardzo daleko od Samary. Kilka tysięcy kilometrów po-

ciągami pospiesznym, parę dni drogi, za górami uralskimi, w pobliżu największej rzeki Rosji Azjatyckiej Ob. Tubylcy miejscowi mongolskiego pochodzenia Mordwini i Czuwasze, prawie dzicy. Podziwiali grzebień do czesania włosów, sami nigdy się nie czesali i mieli kołtuny na głowach. Mój grzebień oglądało kilka wiosek. Polska szkoła w Siergiejewsku to była duża izba szkolna, a w niej około 80 polskich wygnańców - chłopców i dziewczynek. Płakałam patrząc na ich nędzę, ale podziwiałam ich zapał do nauki. Wszyscy chcieli dużo umieć i wrócić do Polski.

W tej szkole miałam pierwszą wizytację inspektora szkół Polskiej Macierzy Szkolnej. Spędził z nami dwa dni i był na wszystkich lekcjach. Powiedział mi: "Ta szkoła to za mała placówka dla Pani wiedzy i talentu pedagogicznego, jaki Pani ma z Bożej Łaski. Przenosimy Panią do Samary".

Rok 1916. Dom Sierot Wychodźstwa Polskiego w Samarze. 150 dzieci, chłopców i dziewczynek od lat 3 do 15. Byłam jedyną nauczycielką i wychowawczynią tej gromady sierot. Z ramienia Komitetu stroną materialną zajmowali się państwo Jeżowscy.

Najcięższe były wieczory, wieczory sierocych rozpaczy. Na początku płakały pojedyncze dzieci, a potem wszystkie razem wśród łez wołały: "Mamusiu, tatusiu, babciu...". Przyszło mi na myśl, aby kiedy już leżą do snu, opowiadać im o Polsce, jak tam jest u nas, o wielkich Polakach i dziejach ojców naszych. Pisklęta kochane, sieroty bezdomne wyrzucone z rodzinnych gniazd. Jak one pracowały nad sobą, byle godnie i z honorem wrócić do Ojczyzny.

Byłam chora na złośliwą samarską malarię. Miałam już dwa ataki, trzeciego nikt zwykle nie był w stanie przeżyć. Wyratować mogła tylko zmiana klimatu, zmiana miejsca zamieszkania. Podałam do "Gazety Wychodźstwa" ogłoszenie, że wskutek malarii muszę zmicnić miejsce zamieszkania i pracę. Przyszło kilka zaproszeń. Nie chciałam wybierać. Powiedziałam, że pojedę tam, skąd przyjdzie pierwsze zaproszenie. Właśnie pierwsze było z Satanowa na Podolu. Kilka dni po Świętach zostawiłam ukochane sieroty i pojechałam do Satanowa. Byłam zdumiona. Rosji ani śladu. Krzyże na rozstajach dróg, kapliczki przydrożne, wszędzie słyhać: "Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus". Szczera, szczera Polska.

Przyjechałam do Satanowa z Ciotunią. Ojciec po skończonej rezerwie wojskowej miał do nas przyjechać. Janka także nie było, bo zgłosił się do formacji ochotniczej Wojska Polskiego mającej iść na odsiecz Warszawie. Niestety, zostali oszukani, wysłano ich pod Dźwińsk na front i tam prawie wszyscy zginęli. Brat prawie cudem ocalał.

Witał nas z Ciotunią ks. Jan Ładygo, dziekan i proboszcz parafii Satanów, członek Macierzy Polskiej Podola, założyciel pierwszej szkoły polskiej w Satanowie.

Szkoła miała być otwarta po upływie terminu mojego trzeciego ataku malarii ... Atak się nie powtórzył. Zaczęłam więc organizować tę pierwszą polską szkołę w Satanowie - pierwszą na całym Podolu.

3. Polska szkoła w Satanowie, rok 1917.

Była to pierwsza polska szkoła na ziemiach oderwanych od Polski po pierwszym rozbiore w roku 1772. Zaczęłam poznawać rodziców i dzieci, ten wierny lud, o którym tak pięk-

nie pisze Juliusz Słowacki w wierszu o konfederatach barskich, a tamtejsza ludność śpiewa tak:

...Nigdy my z grzechem nie będzim w przyjaźni,
Nigdy przed przemocą nie ugniemy szyi,
Bo na Chrystusa jesteśmy rozkazach,
Słudzy Maryi.
Nie złamie nas głód ani żaden frasunek,
Ani shołdują żadne świata hołdy,
Bo na Chrystusa jesteśmy rozkazach,
Na jego żołdy.
Ze skowronkami wstaliśmy do pracy,
I spać pójdziemy o wieczornej zorzy,
Ale w grobowcach my jeszcze rycerze
I hufiec Boży.

Na jednym z krzyży wioskowych było zaś napisane tak:
"Choćby Tobą, Chryste Panie, pogardziły wszystkie ludy,
To na polskim tutaj łanie chłop pokłoni się jak przódy.
Chłop postawi Bożą Mękę u wrót wioski na rozstaju, byś
Wyciągnął, Jezu, ręce i królował w naszym kraju".

Kiedy odwiedzałam Podole w roku 1987 stwierdziłam, że na drodze pozostawiono paczkę. Zrobiłam uwagę, że ktoś ją zabierze. Odpowiedzieli: "U nas jeszcze złodziei nie ma, można zostawić na drodze i nikt nie ukradnie".

Zapis dzieci do szkoły w roku 1917. Gorejąca wiara ojców żyła w sercach dzieci. Przy zapisie mówili tak: "Polska szkoła jest święta i wszystko w szkole jest święte, i pani nauczycielka z Warszawy też jest święta". Całe lata drżałam i starałam się, aby niczym nie splamić pojęcia tych znacznych ludzi o polskiej szkole i polskim nauczycielu.

Dzieci tak tam były przejęte i tak dobrze wychowane, że przez dwanaście lat mojej pracy żadne dziecko nie było upomniane. Dzieci czyły i kochały szkołę. Było na przykład tak: mała Jancia Kotecka z wielkim płaczem wołała: "Mój święty fartuszek /święty, bo tylko do szkoły i do kościoła wolno w nim chodzić/ - splamiłam atramentem. Co mama mi powie?". Święty fartuszek - bała się iść do domu. Poszłam z nią przeprosić za ten splamiony święty fartuszek. W szkole było 6 klas dla dzieci. Ksiądz dziekan prosił, żeby się zająć młodzieżą, i ogłosił dla nich kurs wieczorowy. Zgłosiło się paręset osób. Podzieliłam ich na dwie grupy: analfabetów i takich, którzy uczyli się w rosyjskich szkołach. Uczyłam religii, języka polskiego, historii Polski i geografii Polski. Młodzież uczyła się cztery razy w tygodniu.

Ksiądz dziekan prosił także, aby w zimowe miesiące, po nabożeństwach w niedzielę, mieć pogadanki historyczno-wychowawcze dla ojców i matek. Jakie to szczęście, że uczyłam się w Warszawie w prywatnym polskim gimnazjum z odchyleniem pedagogicznym o bardzo wysokim poziomie i kulturze narodowej. Pod koniec 1917 r. zgłosiło się trzech ojców ze swymi synami: p. Kobyłecki, p. Owsiak i p. Iwanicki. Chłopcy pragnęli zostać kapłanami. Uczyli się w rosyjskiej szkole. Kiedy się dostaną przez granicę do Polski, muszą

zdać egzamin do polskiego niższego seminarium duchownego. Zgodziłam się. Uczyłam tych kochanych chłopców, prawie że młodzieńców, od godziny 7 wieczorem: religii, języka polskiego, historii i geografii Polski. Później z narażeniem życia przepłynęli graniczny Zbrucz. Dwu z nich zostało kapłanami. Ks. Szczepan Iwanicki, okrutnie zamordowany przez Niemców w latach drugiej wojny światowej, przekazał przed rozstrzelaniem kartkę do rodziny i parafian: "Wiem, za kogo i za co Bogu życie oddaję. Bądźcie wierni. Trzymajcie się". Jako męczennik poszedł do wieczności. Ksiądz Stanisław Kobyłecki - Wielki Kapłan¹. W czasie swoich wizyt w Satanowie na zaproszenie w latach 1961-1968 przygotował grunt pod nowicjat Sióstr Franciszkanek Służebnic Krzyża, a ta mała Jancia Kotecka, o której wspomniałam, to Mistrzynie pierwszego nowicjatu Sióstr Franciszkanek Służebnic krzyża na Podolu.

Trzeci z chłopców, Antoni Owsiak, na ochotnika wstąpił do Wojska Polskiego, studiował i skończył Wyższą Szkołę Wojskową. W randze kapitana poległ w obronie Lwowa na początku II wojny światowej, w 1939 roku.

4. Niektóre wspomnienia o warunkach pracy nauczycielki Polki na Podolu.

Żeby dobrze zrozumieć i wczuć się w groźbę położenia uczciwych polskich serc na Podolu w tych czasach, trzeba wiedzieć, kim byli ludzie, którzy wtedy rządili Podolem. Byli to z daleka przysłani Rosjanie i Ukraińcy z czerwoną gwiazdą na czapce i czerwonym paskiem na rękawie, prawie wszyscy analfabeci i alkoholicy, ale niestety z nieograniczoną władzą nad życiem i śmiercią tysięcy Podolan.

Było na przykład tak: kilku członków takiej pijanej "władzy" z karabinami i rewolwerami w ręku przyprowadziło do szkoły księdza dziekana, żeby, jak mówili, rozstrzelać go przy dzieciach. Jeden z nich był tak pijany, że zamiast w serce księdza, wycelował w serce kolegi. Ksiądz dziekan zawołał: "Uważaj, bo zabijesz kolegę, on nie jest księdzem". Wystąpienie księdza tak rozrzewniło pijaną władzę, że wołali: "Takiego popa jeszcześmy nie widzieli, on nas ratuje". Całowali go i odprowadzili na plebanię. Myślę, że to dzieci ocaliły księdza dziekana, bo przerażone klęczały w ławkach i głośno mówiły: "Pod Twoją obronę uciekamy się, Święta Boża Rodzicielko".

Trzeba było znać ciemnotę i władzę tych ludzi. Analfabeci i alkoholicy byli naczelnikami gminy, powiatu, a może i województwa, panami życia i śmierci setek tysięcy osób. I tacy ludzie jako władza jeździli od wsi, od miasta do miasta, odwiedzając także i szkoły. Był taki inspektor, naczelnik powiatu, który prawie codziennie przyjeżdżał wizytować szkołę, w której pracowałam, a po pijanemu mówił, żeby porwać Polkę nauczycielkę. Przerażeni rodzice nie odstępowali mnie ani na chwilę, a noce spędzałam każdego dnia w innej rodzinie i w innej wsi. Na szczęście zachorowałam na tyfus. Pan inspektor, bojąc się zakaźnej choroby, przestał przyjeżdżać do naszej szkoły i wrócił, skąd przybył, tzn. do głębokiej Rosji.

W ciągu wielu lat trwały masowe egzekucje. Było tak, że przybył z daleka do Satanowa nieznany zupełnie inspektor szkolny, a właściwie kat Kresów Wschodnich, znany pod pseudonimem "Halej". Miał młodziutką żonę Rosjankę, Marusię, pochodzącą z głębokiej Rosji /lat 20/, ja miałam wtedy 25 lat. Chora była na gruźlicę w trzeciej ostatniej fazie. Mieszkan-

ka dalekich stron, nie znała i nie miała nikogo w Satanowie. On bał się gruźlicy i porzucił ją samą w jakimś opuszczonym domu bez opieki. Wszyscy bali się okrutnego męża i nikt do niej nie zaglądał, wegetowała więc w zimnie, głodzie i opuszczeniu. Po radzie z Antosiem Rożek, młodą nauczycielką, jedną z moich uczennic, postanowiłyśmy po szkole wieczory i noce spędzać na zmianę u chorej, ogrzać, napoić, nakarmić, zmieniać bieliznę i opiekować się nią. Po kilku tygodniach nadszedł koniec życia. Bardzo bała się śmierci. Mówiłyśmy jej o Bogu, Ojcu Najlepszym, o jej duszy nieśmiertelnej, o wieczności. Zapragnęła spowiedzi, ale nie u popa. Prosiła o polskiego księdza. Ksiądz dziekan nie uląkł się straszego męża, wypowiedział ją, dał komunię Świętą i Sakrament Chorych. To była ostatnia noc jej życia. Byłam sama. Marusia po Komunii Świętej była taka szczęśliwa... Bała się jednak śmierci, tuliła się do mnie, objęła rękami... i wtedy strumień krwawego potoku zalał mi twarz, ręce, przemoczył ubranie. Umarła.

Zajęłam się pogrzebem. Na cmentarzu nad otwartą mogiłą pokazał się mąż. Kiedy ksiądz dziekan zakończył modlitwy i ludzie zaczęli się rozchodzić, mąż podszedł do mnie i do Antosi. Powiedział: "Za to, coście zrobili dla mojej żony, waszego wroga, włós wam z głowy nie spadnie". Pokazał urzędowy, opieczętowany dokument, listę osób parafii Satanów, które mają być wywiezione i rozstrzelane. Było tam nazwisko księdza dziekana, moje, Antosi i wielu najlepszych Polaków. Powiedział: "Wybieraj, kogo chcesz, zostanie żywy". Prosiłam o wszystkich. "Muszę wybrać choć część, - mówił - ale daję ci słowo, że wrócą wszyscy żywi". Dotrzymał słowa. Wrócili wszyscy. Powiedział mi jeszcze, że jego matka jest wierzącą katoliczką-unitką, a on sam też w Boga wierzy, ale mści się na Polakach i Rusinach za pomordowanych braci unitów. "Teraz zejść z tej drogi". Niedługo potem został rozstrzelany. Centralny Komitet Partii skazał go na karę śmierci, bo nie chciał brać udziału w krwawej rozprawie na Kresach Wschodnich.

Masowe egzekucje powtarzały się przez te 12 lat mojej pracy nauczycielskiej aż do mojego uwięzienia. Trzeba było codziennie być gotowym na śmierć. Bywało tak, że zaszywałam się w nie kończące się łany pszenicy i łudziłam się kilkugodzinnym bezpieczeństwem. Żyłam w morzu krwi, potwornej demoralizacji i zepsucia. Z miłością i nadzieją pracowałam dla i wśród ukochanej dziatwy i młodzieży. Oni też rośli i wychowywali się w morzu krwi i zepsucia. Kochali jednak swoją nauczycielkę, pomagali i żywili jedzeniem przynoszonym od swoich rodziców, bo był głód.

Tak, piszę to ze łzami wdzięczności, bo Bóg wśród tych chłopców wybrał sobie kapłanów: ks. Szczepana Iwanickiego, zabitego przez Niemców, i ks. Stanisława Kobyleckiego, wielkiego kapłana, zmarłego w roku 1987. Z największym wzruszeniem i radością piszę także o tym, że właśnie spośród tych dziewczynek, lub ich córek, Bóg powołał pierwsze nasze Siostry Franciszki Służebnice Krzyża na Wschodzie. Niech będzie Bóg uwielbiony!

Z głęboką skrucą i pokorą dziękuję Bogu i Matce Bożej za wiarę, miłość i męstwo, jakie dał mnie, młodej dziewczynie. Bo w ciągu tych 12 lat - trzy razy przedostawałam się przez graniczną rzekę Zbrucz do ukochanej rodziny i Warszawy w ważnych sprawach i trzy razy w przerażeniu i lęku, z narażeniem życia wracałam do ukochanych szkół, dzieci, młodzieży i umęczonych rodaków na drodze Kresy Wschodnie, na drogi, umęczony Wschód.

Rok 1919. Stary Skałat, miasteczko po polskiej stronie Zbrucza. Zbrucz to rzeka graniczna między Polską a Rosją. Stary Skałat, tak jak Lwów, Tarnopol i inne miasta, był pod zaborem austriackim. 1919 rok to była już wolna, niepodległa Polska. Wojska polskie generała Władysława Sikorskiego zajęły Podole, Wołyń i całe Kresy Wschodnie. Przez most na Zbruczu graniczne wojska polskie pozwalały za okazaniem dokumentów przechodzić do wolnej Polski. Jaka to była radość! Ksiądz dziekan dał mi urlop i radził, żeby po latach tęsknoty pojechać do rodziny do Warszawy i stamtąd przywieźć podręczniki dla polskich szkół i ukrytego jeszcze seminarium nauczycielskiego.

Jakie to było szczęście na myśl spotkania z rodziną i ukochaną Warszawą! Przeszłam przez most na Zbruczu i poszłam do polskiej straży granicznej, bo tak mi kazano. Od razu aresztowali mnie i pod karabinami zaprowadzili do Starego Skałatu. W Starym Skałacie ogłosili mi, że będę więziona 20 lat za przekroczenie granicy. Powiedzieli, że na pewno jestem szpiegiem. Całymi godzinami prowadzili śledztwo. Mówili też, że przez 20 lat będzie wiele razy cięża i rodzenie w więzieniu. Nie pamiętam, ile dni byłam w więziennej izbie straży granicznej w Starym Skałacie. Nie było jedzenia ani picia, ani spania. Myślę, że choć w polskich mundurach straży granicznej, nie byli to Polacy, ale ludzie innej narodowości, gdyż byli okrutni, cyniczni i bezczelni. Były to lata terroru i gwałtu i mogło się tak stać. Pamiętam, że nocą płakałam, Matce Bożej oddawałam moje serce, życie i śluby 'dziewicze. Całowałam stopy Matki Bożej i z wielkim płaczem prosiłam, aby mnie zachowała od zdrady tego, co ukochałam nad życie, tego co od Boga dostałam jeszcze przed maturą.

5. Niektóre wspomnienia z Podola (lata 1917-1922).

Satanów - miasteczko położone nad brzegiem rzeki Zbrucz. Wtedy była to rzeka graniczna, między zaborem rosyjskim a austriackim. Nazwa Satanów pochodzi od łacińskiego słowa "satis" - "dosyć". Powiedział te słowa wódz wojsk rzymskich za panowania cesarza Trajana i tu kazał sypać wschodni wał graniczny Cesarstwa Rzymskiego. Jeszcze do dziś istnieją resztki "wału Trajana". Do dziś istnieją także ruiny zamku obronnego - twierdzy przed napadami Tatarów.

Satanów posiadał kościół katolicki pod wezwaniem Trójcy Przenajświętszej, budowany przez rodzinę św. Stanisława Kostki. Była w tym kościele wielka kaplica Niepokalanego Poczęcia z relikwiami Drzewa Krzyża Świętego. W tej kaplicy przez dwanaście lat przygotowywałam działawę do Pierwszej Komunii Św. w tej olbrzymiej, blisko dwudziestotysięcznej parafii.

Ten ukochany kościół ocalał w czasie I wojny światowej, a doszczętnie zrujnowany został w latach trzydziestych. Obecnie pozostał plac zajęty przez maszyny kotchozu. Na ten plac przychodzą do dziś wierni Polacy i modlą się na kolanach.

Była tam też synagoga żydowska, bo dużą część tego ruchliwego handlowego miasteczka stanowili Żydzi. Szanowali młodzieńką Polkę - nauczycielkę, zapraszali do synagogi na swoje modlitwy. Za pozwoleniem księdza dziekana byłam tam kilka razy. W latach krwawego terroru Żydzi ostrzegali, a nieraz i ratowali. Z rozrzewnieniem wspominam szlachetny dom Mitelmanów. Dowiedziałam się później, że Hitler zlikwidował ich wszystkich

doszczętnie. Polacy znaleźli się już wcześniej w więzieniach i na zesłaniu, więc nie było komu ich ratować, bo ludność ukraińska była po stronie Niemców.

Kiedy byłam później w więzieniu w Kijowie, nie dopuszczali do mnie paczek od przyjaciół; ani odzieży, ani bielizny, ani pożywienia. Jedyna paczka żywnościowa, jaką tam wtedy dostawałam, to była żywność przysłana za pośrednictwem Żydów z Satanowa.

Kiedy w roku 1970 po wielu latach na zaproszenie odwiedziłam Satanów, to opowiedziano mi, że po moim uwięzieniu w r. 1929 p. Mitelman, właściciel zakładu fotograficznego, na swojej frontowej witrynie wywiesił mój portret, "Portret Polki - nauczycielki". Partia i władze ukraińskie oburzały się za to na niego. Odpowiedział im, że to najlepszy portret, jaki mu się udało zrobić, i że to jest reklama jego firmy. Do Polaków zaś mówił: "Umieściłem na wystawie portret tej waszej "świętej" nauczycielki, żebyście pamiętali o niej i o tym, czego was uczyła".

Od roku 1917 Podole zostało zalane krwią i ogniem pożarów leninowsko-stalinowskiej rewolucji. W roku 1918 wojska polskie gen. Wł. Sikorskiego zajęły Podole. Na przepustkę wojskową można było pojechać do Warszawy. Ks. biskup i ks. dziekan dali mi dwumiesięczny urlop nie tylko po to, aby spotkać się z rodziną, od lat nie widzianą, ale i dlatego, aby opanować rzemiosła chałupnicze: guzیکarstwo dla dziewcząt i kobiet, rzemiosła chałupnicze i koszykarstwo dla chłopców i mężczyzn /dla matorolnych rodzin Podola/. W Warszawie mój Wuj Franciszek Piekarski, który uwielbiał niewidomą Matkę Czacką i warsztaty niewidomych na Polnej, skierował mnie tam na naukę rzemiosła. Matka Elżbieta Czacka zgodziła się na to.

Co dzień byłam rano na mszy św. w kaplicy na Polnej, a potem, do wieczora, na nauce w warsztatach. Guzیکarstwo opanowałam w kilka dni, a koszykarstwo w kilka tygodni. Mateńka była bardzo delikatna i o moim powołaniu służenia niewidomym ze mną nie mówiła, ale w warsztatach niewidomych powiedziała tak: "Ta młoda nauczycielka, która obecnie z wami pracuje, to dusza przez Boga nam dana, tylko trzeba czekać. Młoda panienka wraca na Kresy znowu zalane krwią w ogniu pożarów rozszalałej rewolucji. Wraca ratować dusze i serca polskich dzieci i polskiej młodzieży". Te słowa Mateńki powtórzył mi p. Szkulik - instruktor warsztatów niewidomych.

Na rozkaz gen. Wł. Sikorskiego w kilka dni wojska polskie opuściły Podole. Ze ściśniętym sercem żegnałam Polną, rodzinę ukochaną, Warszawę. W lęku i przerażeniu z narażeniem życia przedzierałam się przez bolszewicką już teraz granicę: przez rzekę Zbrucz na Podole /Satanów, Gródek, Płoskirów/ do ukochanych szkół, dzieci, młodzieży, rodaków umęczonych półtorawiekową niewolą - ale świętych i ukochanych.

Rok 1917, luty. Obalenie caratu - rewolucja to umiarkowane rządy Kiereńskiego. Rok 1917, listopad - to krwawa rewolucja Lenina i partii komunistycznej. Na Podolu okrutna i krwawa likwidacja ziemiaństwa polskiego przez Ukraińców, mordy i pożary. A wszystkie te straszne dni, noce, całe miesiące na tle wojny światowej.

Rok 1918 - wojska polskie zajmują Podole.

Rok 1920. Rezurekcja. Procesję otwierała dziatwa polskiej szkoły w Satanowie. Kierowałam całą procesją. Feretrony, chorągwie i ta najdawniejsza chorągiew Królowej Korony Polskiej, jeszcze z tych czasów, kiedy tu była Polska, przechowywana jak najdroższa pa-

miałka i symbol tych wiernych serc, co prawie 150 lat w męce i prześladowaniach czekały na ten dzień. Nad polską szkołą powiewał sztandar narodowy: amarantowo-biały z orłem w koronie.

Jak bardzo ten dzień przypominał obraz, który z ławki szkolnej oglądałam w klasie maturalnej i o którym ze łzami pisałam w szkolnym wypracowaniu. Cudny, jak samo szczęście, a czegoś straszny. Tak, straszny, bo wojska polskie odchodzą z Podola. Idą nowe lata prześladowań i męczeństwa.

Ale tego dnia dzwony głosiły radosne zmartwychwstanie tej ziemi tak wiernej Królowej Korony Polskiej. /Do dziś jeszcze w litanii do Matki Bożej mówi się tam: "Królowo Korony Polskiej, módl się za nami"/. Tłumy rozmodlonych Polaków śpiewały: "Wesoły nam dziś dzień nastał"...

Rok 1920. W czerwcu na wakacje pojechałam do Warszawy. Po latach tęsknoty witałam Stare Miasto, rodzinę, nie było tylko Ojca, wciąż jeszcze zagubionego w głębi Rosji, dokąd dostał się jako poborowy rezerwy. Ciotunia została w Satanowie, bo pojechałam tylko na parę tygodni. Tymczasem stało się inaczej. Zaczęła się wojna Polski z Rosją, a Podole stało się bojowym frontem. Było to tak błyskawiczne, że nie zdążyłam już wrócić do Ciotuni, do ukochanej szkoły, do mojej placówki kresowej.

Wojska rosyjskie podążały na Warszawę. Warszawa zagrożona. We wszystkich kościołach dniem i nocą wystawiony Najświętszy Sakrament, tłumy wiernych modlących się i błagających o ratunek i ocalenie Warszawy. 14 sierpnia szła błagalna procesja z kościoła Świętego Krzyża do Katedry. Procesję prowadził ks. kardynał Achilles Ratti, późniejszy papież Pius XI. On jeden spośród wszystkich przedstawicieli zagranicznych konsulatów i ambasad Warszawy nie opuścił. Powiedział, że co będzie z Polską, będzie i z nim.

Noc z 14 na 15 sierpnia była straszna. Byłam w czołówce sanitarnej na Pradze. Huraganowy ogień dział, a potem cisza. W ten ogień poszli harcerze z ks. Skorupką na czele, który trzymał krzyż w ręku. Cisza, bo wojska rosyjskie właśnie tej nocy zaczęły się cofać, a nasze wojska pędziły je na Wschód. Warszawa była ocalona.

W ślad za tymi wojskami, za przepustką wojskową dotarłam do Satanowa, do Ciotuni, do ukochanej placówki. Porucznik oddziału wojsk polskich w Satanowie powiedział mi, że gen. Sikorski nakazał wojskom polskim wycofać się z Podola i z całych Kresów Wschodnich. Jutro rano wychodzi za Zbrucz ostatni oddział wojska polskiego, a wejdem wojska ukraińskie Petlury i wojska bolszewickie. Mówił, żebym zabierała Ciotunię i z nimi wracała do Warszawy, bo dla Polaków przyjdą tu straszne czasy. "Niech się Pani namyśli, rano wyruszamy. Przyślę żołnierzy, aby pomogli Pani i Ciotuni. Niech się Pani ratuje, bo to ostatnia chwila". Ciotunia tuliła się do mnie jak pisklę pod skrzydła: "Wiedziałam że mnie nie zostawisz", i płakała z radości. Przybiegały też uradowane dzieci i ich rodzice. "Wyjechali już wszyscy, ale ksiądz został. Niech nas Pani nie opuszcza, może i my z Panią ocalejemy. Prosimy zostać z nami"... Powiedziałam: "Zostanę z wami, nie opuszczę was". A komendant wciąż prosił i tłumaczył: "Idą czasy trudne i okropne, proszę się ratować i z nami wyjeżdżać".

Prosiłam Ciotunię, by choć ona z wojskiem pojechała do Warszawy. Ona jednak chciała zostać przy mnie i z płaczem powtarzała, że nie będzie mi ciężarem. "Przy tobie pragnę za-

mknąć oczy", tuliła się do mnie i całowała. Wozy wojskowe, jak pokusa, całą noc stały przed szkołą. A ja całą noc leżałam krzyżem przed krucyfiksem i walczyłam ze sobą. Cecora, Chocim... Wojska polskie poniosły klęskę w tej bitwie, poległ hetman wojsk polskich Stanisław Żółkiewski. Krew rycerzy polskich i hetmana Żółkiewskiego, poległych pod Cecorą, wyjednała u Boga w kilkanaście lat później wielkie zwycięstwo nad wojskami tureckimi i tatarskimi pod Chocimiem, tak że nigdy więcej ani Turcy, ani Tatarzy nie odważyli się na Polskę napaść.

Rankiem przyszli żołnierze od komendanta pomagać do wyjazdu. Powiedziałam im, że zostaję. Nie mogli uwierzyć, słyszałam, jak mówili: "Taka młoda i taka ładna, chyba pomyłona..."

Tętent ostatnich oddziałów odjeżdżającej polskiej konnicy, turkot ostatnich żołnierskich wozów. Pocałowałam stopy Ukrzyżowanego Zbawiciela. "Dla Ciebie tu zostałam. Nie pozwól mi nigdy oddalić się od Ciebie".

Rok 1922 to dalszy ciąg walki z Kościołem i z polskością na Kresach. Szara przędza nauczycielskiego życia: szkoła, kursy wieczorowe, przygotowanie chłopców do seminarium duchownego. Była to znowu przez jakiś czas jedyna polska szkoła na dużych obszarach, bo nauczyciele powyjazdzali do Polski. Z "góry" szło takie polecenie: "Wytrwać, jak najwięcej szkół polskich. Polska tu wróci". Domyślałam się, kto był tą "góram", ale imiennie nie chciałam wiedzieć.

W tym czasie zorganizowałam kurs dla młodzieży polskiej, która pragnęła poświęcić się pracy nauczycielskiej. Były to lata takiej niby-tolerancji narodowościowej. Młodzież tę przygotowywałam do państwowych egzaminów na nauczycieli polskich szkół. Początkowo było tylko 8 osób na I kursie: Jadwiga Ochocka, Halina Popławska /zmarła w Polsce i jest pochowana na cmentarzu w Laskach/, Antonina Rożek /jako nauczycielka polska została rozstrzelana na Podolu w 1937 r./, Stanisław Rożek /jako nauczyciel polski rozstrzelany na Podolu w 1937 r./, Jadwiga Cymbaluk, Leontyna Kotecka, Weronika Szymańska, Tadeusz Hrynkiewicz. Później na kursie było więcej osób. Cała praca odbywała się na tle krwawego terroru szalejącej wciąż rewolucji. Byłam członkiem rady gminnej i powiatowej, tak chcieli księża dla dobra Kościoła i polskości. I tam potrzebni byli swoi ludzie. Chodziłam więc na zebrania i odczyty ocalić to, co się da, z ludzkich spraw.

Młodzieży, uczącej się na nauczycieli, trzeba było dać podręczniki, i to dobre, wartościowe. Na miejscu o tym nie mogło być mowy. Trzeba więc było postarać się o podręczniki w Warszawie. W tym celu kilka razy przedostawałam się przez graniczną rzekę Zbrucz. Raz było to w r. 1922, a drugi raz w 1925.

Rodzina stanowczo się wtedy sprzeciwiała, bym będąc w Warszawie wracała do tego "piekła". Ciocie, siostry Mamusi, twierdziły, że ja mam tam kogoś, i wymagały od Wujka, aby mnie nie puścił. Wuj spytał mnie, czy naprawdę mam tam kogoś, jak twierdzą Ciotki. Powiedziałam "Wuju, ja tam mam szkołę". Wuj: "Szkołę masz i tu, dlaczego to musi być koniecznie tam?" Spojrzałam na pomnik Króla Zygmunta i powiedziałam: "Czy wuj pamięta, co mi o nim opowiadał? Zastłuchałam się w te słowa i już inną być nie mogę". A Ciotki znowu obstały Wujka. Rozgniewał się: "Pozwoliłem jej jechać i pojechać, a choćby wam powiedziała, dlaczego tam wraca, to i tak jej nie zrozumiecie. Zamiast ją osądzać, niech się która ruszy i buciki jej na taką drogę oczyści". Niepokoił mnie opór rodziny. Widziałem w nim roztrpność i miłość. Godzinami klęczałam przed Najświętszym Sakramentem i prosi-

łam o światło. Pewnego dnia w kościele Świętego Krzyża spowiadał jakiś kapłan. Podeszłam do spowiedzi i przedstawiłam mu swoją sprawę: wielkie pragnienie klasztoru i praca na Kresach. Powiedział mi, że musi się nad tym dobrze namyślić i żebym przysłała po odpowiedź za kilka dni. Przysłałam. Powiedział mi: "Modliłem się za ciebie z moimi braćmi kapłanami i myślę tak: zakon później, a teraz wracaj tam, a gdybyś z tego powodu straciła życie, czeka cię w niebie wielka nagroda: korona dziewicza i palma męczeństwa". Zabolało mnie słowo "nagrada". "Ojczy, ja nie dla nagrody to robię, nie pociągają mnie palmy i wieńce". "A co cię pociąga?" - "Bóg i miłość, to znaczy kochać Boga i żyć dla Niego". Ten nie znany mi kapłan zapewnił mnie, że modlitwa jego będzie mi towarzyszyć zawsze i wszędzie. Wróciłam do Satanowa przechodząc Zbrucz koło Kałaharówki.

6. Rok 1925, Warszawa.

Nauczycielskie życie na Podolu i Kresach Wschodnich płynęło w wirze pracy, trwogi, krwi i wysiłku.

Należało znowu starać się o podręczniki dla młodzieży przygotowującej się do egzaminu na nauczyciela polskich szkół na Kresach. Zapragnęłam też choć na chwilę odetchnąć ojczystym powietrzem, zobaczyć rodzinę i ukochane Stare Miasto. Spotkać się choć na chwilę z Ojcem, który powrócił już do Warszawy z Rosji. Dotarłam do Warszawy przez graniczny Zbrucz, przy padłam do rąk Ojca... tulił mnie i płakał, zapomniałam o wszystkim ... Już nikt i żadna siła od niego mnie nie oderwie ... a trzeba wracać. Głos sumienia i obowiązek wołał tam, na Kresy. W rodzinie zawrzało: "Zostań!" W katedrze, w kaplicy Ukrzyżowanego Cudownego Chrystusa, walczyłam ze sobą, z własną słabością, lękiem, tęsknotą. Było mi tak ciężko, że prawie krzyżem upadłam przed ołtarzem. Zrozumiałam: Pan Jezus dla zbawienia nawet jednej duszy umiera na krzyżu, dla zbawienia choćby jednej owieczki... "Jam jest Pasterz Dobry"... i przez Ukrzyżowanego Dobrego Pasterza spojrzałam teraz na dusze moich dzieci kresowych. Na ten drobiazg małutki, na te starsze już dziewczęta i chłopców, i młodzież prawie dorosłą, którzy już za rok zostaną nauczycielami polskich szkół. "Dobry Pasterz duszę swą oddaje za owce swoje, lecz najemnik opuszcza owce i ucieka, a wilk porywa i rozprasza owce"...

Ostatni wieczór w rodzinie. Płaczą i proszą: "Zostań z nami". Powiedziałam: "Kto tam będzie uczył?" Zamilkli i przestali płakać. Ojciec ukochany ... zrozumiał mnie i pobłogosławił. Pociąg już rusza, a ja nie mam siły oderwać się od Ojca. Po moim czole płyną jego wielkie gorące łzy. Konduktor zatrasnął drzwi wagonu i wiem, że wtedy pękło mi dziecięce ludzkie serce. Jechałam jak martwa, tylko myśli kręciły mi się jak stado strwożonych ptaków. Po drodze we Lwowie załatwiłam sprawę podręczników. Następnego dnia cicho stanęłam na brzegu granicznej rzeki Zbrucz. Jesienny wicher, deszcz, noc. Czekałam na umówiony znak. Jakaś groza szła ku mnie od tamtego brzegu. Zdawało mi się, że cała wścikłość stamtąd zwrócona jest ku mnie. Czułam całą swoją niemoc i zupełną bezbronność. Myśl uleciała ku Ojcu. Co on teraz robi, najdroższy? Tam cisza, spokój, bezpieczeństwo, a tu noc, pustka i ten straszny, niemiłosierny brzeg. Tęsknota stała się tak ciężka, że dusza zaczęła się wahać. To niepodobieństwo, nie przejdiesz granicy, wróć się, jeszcze czas...

Król Zygmunt zagląda w okno mego pokoiku i mówi: "Pamiętaj, żeś Polką, a Polska to chrześcijaństwa przednia straż". A w duszy światło: "Jam jest Pasterz Dobry i duszę moją daję za owce moje. Nikt jej ode mnie nie bierze, sam ją daję, dlatego miłuje mnie Ojciec"... Martwe rozdarte rozstaniem serce i umysł rozdygotany do obłędu lękiem tamtego brzegu...

Jeszcze chwila - i skok w ciemność do lodowatej jesienniej wody. Na drugim brzegu narzuciłam sukienkę i zaczęłam ostrożnie posuwać się naprzód. Mógł mnie zdradzić każdy ruch lub potknięcie się. Usłyszałam tupot, parskanie koni, głosy ludzi. To rosyjska straż graniczna. Skryłam się w rowie, klęczałam w nim bez ruchu, słyszałam każde słowo ich rozmowy. Przejechali, nie zauważyli. Cisza. Deszcz. Poszłam dalej. Byłam wyczerpana nie tylko bezsennością i męką przeżyć ostatnich dni, ale i chorobą. Błądziłam po błotach w deszczu i lodowatym wicherze. Granicę przekraczałam pod Husiatynem, a do domu do Satanova miałam jeszcze 30 kilometrów. Dotarłam do szosy. Jakaś siła krzepiła ciało i duszę, prawie świtało, kiedy doszłam do domu. Nie położyłam się od razu, żeby nie martwić Ciotuni, przerażonej moją tak długą nieobecnością i grozą nowego inspektora szkolnego, który swoim zachowaniem napępiał przerażeniem Satanów i całą okolicę. Nocą w gorączkowych majakach anginy przeżywałam koszmar ubiegłej nocy i grozę przyszłych dni.

7. Rok 1927. Rola nauczyciela Polaka na Kresach Wschodnich.

Coraz ciałniej, coraz trudniej. Ksiądz dziekan mówi: "Niech pani wraca do rodziny, do Warszawy, bo tu front rozbity, bitwa ducha o Krzyż i Polskę przegrana. Dam ludzi pewnych, przyniosą Ciotunię przez granicę. Ratujcie się. Dość tej męki, tu już wszystko skończone, czeka więzienie, śmierć albo Sybir. Ja już muszę tutaj położyć głowę, bo to mój kapłański obowiązek. A pani niech się ratuje, szkoda młodych lat" - mówił to, a miał łzy w oczach. Powiedziałam, że uciekać nie mogę, że zostanę do końca. "Przepraszam księdza, ale nie posłucham, inaczej nigdy nie byłabym szczęśliwa". Wiem, że ksiądz dziekan nie mógł zrozumieć mojej duszy, duszy młodej dziewczyny zapatrzonej w światła Cecory i Chocimia.

Wiedziałam, że rycerski duch ojców nie pozwoli na hańbę dezercji z pola bitwy ducha dlatego, że bitwa przegrana. Wierzyłam, że duch Kościoła, duch Narodu, duch konfederacji barskiej żyć będzie w duszach tysięcy, a te ostatnie chwile są bardzo ważne, bo są siewem przyszłości. Bo to, co kto sieje, inni żąć będą: albo upodlenie ucieczki, albo wierność do końca na radosny siew Zmartwychwstania. Zdawałam sobie sprawę, że w tej chwili stoję na czele szkół i nauczycielstwa polskiego na Podolu i że oczy i serce wielu patrzeć będą na rozwiązanie tej sprawy. Zdawałam sobie sprawę, że wprowadziłam nowy zastęp młodych nauczycieli i że moje odejście od pracy byłoby moim nauczycielskim testamentem. Lękałam się, czy młodzi nauczyciele dobrze rozumieją trudną sytuację. Moje sumienie dopominało się o jasne, publiczne wypowiedzenie zasad nauczyciela Polaka na Kresach pod rządami ateistycznej komuny.

8. Rok 1928 - Żytomierz.

Okazją do wypowiedzenia się był zjazd nauczycielstwa polskiego Kresów Wschodnich w Żytomierzu.

Był to czerwiec 1928 r. Na zjeździe spotkałam wielu nauczycieli, kolegów i koleżanek z kursów filozofii ateistyczno-marksistowskiej dla nauczycieli Polaków w Moskwie w latach 1924-1925. Wybrano mnie do prezydium zjazdu jako autorkę drukujących się właśnie podręczników dla klasy I i II a zarazem jako dyrektorkę i kierowniczkę polskiej szkoły w Sata-nowie i polskich szkół Podola. Trzeciego dnia zjazdu wycofałam się z przewodniczenia i poprosiłam o głos. Podsumowując wyniki zjazdu zatrzymałam się na omawianych programach i metodach nauczania. Powiedziałam, że zauważyłam wielkie braki i o tym pragnę ze zjazdem pomówić. "Mówić o szczęściu i wychowaniu naszych dzieci, a nie słyszałam nic o duszy naszego dziecka, o duszach naszych dzieci kresowych. Czy pomyśleliśmy choć przez chwilę, jaką tragedię stwarzamy w duszach naszych dzieci, kiedy wszystko, co dom rodzinny nazywa białym, szlachetnym, świętym i co trzeba czcić, kochać i czym żyć na co dzień i w godzinę śmierci - my znaczymy piętnem zacołania, ciemnoty, śmieszności, a nawet podłości. Czy zjazd dostrzegł to i zajął w duszę tych dzieci i nauczycieli, którzy tę tragedię dojrzel? Dwie siły: dom i szkoła, które przez to, że formują duszę dziecka, powinny być zgodne, szarpiają w odmiennych kierunkach. Upominam się o duszę naszej dziatwy kresowej - to jest o takie programy szkolne, które by nie dopuściły do tragizmu dziecinnej duszy i serca". Cisza... Spostrzegłam przerażenie w oczach nauczycieli i zdumienie w oczach władz. Ciągłe cisza, jak po wybuchu bomby. W końcu zabrał głos przedstawiciel władz centralnych partii i oświaty z Moskwy: "Dziwię się, że są jeszcze nauczyciele, dla których istnieje takie zagadnienie i takich mieć u siebie nie chcemy".

Zjazd zakończył się, na sali stronili ode mnie wszyscy. Podeszła do mnie tylko Antosia, ale po różnych kątach szeptano mi: "Koleżanko, cześć! Cześć za to, że koleżanka powiedziała im to w oczy, o czym człowiek przy nich pomyśleć się boi. Niech Bóg koleżance zapłaci za te słowa". Szeptano mi też: "Trzeba się zapaść w mysią dziurę, bo już teraz na pewno nakryją".

Uciekać - nie! Słowa nie wystarczą - myślałam sobie. Pod publicznym wyznaniem wiary powinien być podpis i pieczęć. Był podpis: więzienic od lutego 1929 r. i pieczęć: wyrok Sądu Wojskowego Najwyższego w Charkowie w dzień Serca Jezusowego następnego roku.

Tak się cieszę, że to moje publiczne wyznanie wiary polskiego nauczyciela było w Żytomierzu - mieście kresowym, w którym nasza Matka Elżbieta Czacka przyjęła habit i dała początek zgromadzeniu Sióstr Franciszkanek Służebnic Krzyża, że w tym mieście pomagał Matce ksiądz Władysław Krawiecki.

9. Wspomnienia z więzień śledczych w Płoskirowie na Podolu, w Kijowie i Charkowie.

Każde więzienie śledcze to było miejsce znęcania się i okrucieństwa nad duszą i ciałem bezbronного człowieka. To miejsce, w którym, jak mówi starożytne rzymskie przysłowie: "Człowiek człowiekowi wilkiem jest, człowiek człowiekowi demonem jest"...

Dzień Matki Bożej Gromnicznej, ofiarowanie Pana Jezusa. Dzień pracy, szkoła musiała być czynna. Dzień aresztowania, rok 1929. Średnia szkoła wychodźstwa polskiego w Płoskirowie na Podolu. Ostatnia moja lekcja języka polskiego, temat: Mickiewicz - Pan Tadeusz. Zaraz po lekcjach areszt i więzienie śledcze.

Pierwsze dni spędziłam w tzw. worku kamiennym, to jest kamiennej dziurze. Tylko kamienna podłoga, nic do spania, nic do jedzenia ani picia. Potem jakaś kamienna izba z jednym zakratowanym oknem i znowu kamienna podłoga. Trochę stomy w workach. Rano kromka chleba na cały dzień, a w południe trochę kartoflanki. Kilkanaście Polek było ze mną, bo właśnie rozpoczęła się likwidacja polskości na Podolu, Wołyniu, Winnicy i Kijowszczyźnie. Kościoły ocalałe po wojnie minowano i wysadzano w powietrze.

Jedynе okno tej izby było prawie nad wielką piwnicą. Piwnicą krwawą, piwnicą katuszy i rozstrzałów. Całe noce było słychać jęki, krzyki i strzały. Nieustannie płynęła modlitwa za konających z dziecinnego jeszcze, rodzinnego pacierza: "O najśrodszy i najtąskawszy Jezu, miłośniku dusz naszych, błagam Cię przez konanie Najświętszego Serca Twego i boleści Matki Twej Niepokalanej, obmyj we krwi Twojej wszystkich grzeszników całego świata, którzy w tej chwili konają i dziś jeszcze umrzeć mają. Serce Jezusa konające, zmiłuj się nad konającymi". Nocą otwierały się drzwi i którąś z nas wywoływali. Taka osoba nie wracała już nigdy.

Śledztwa. Proszę wybaczyć, ale o tym pisać nie wolno. Tyle już napisane przez wielu, że nic już dodać nie można. Wszystko to Bogu oddane. Śledztwa... Wiele ich było. Kiedy się szło, to dusza i ciało zamierały w przerażeniu. Wiadomo było, że gwałcą kobiety. Ale i tu, w tym strasznym miejscu nienawiści człowieka i szatana, jedno z tych śledztw wspominał z miłością i wdzięcznością. A było to tak:

Przerażona wchodziłam do pokoju śledczego. Zadrżałam, jakaś kanapa, jakaś tam posciel. Jak na każdym śledztwie zaczęło się: Kościół, księża, szkoła, religia, historia Polski, Mickiewicz, stosunki z Warszawą, przekroczenie granicy, organizacja podziemna, przygotowanie gruntu z zamiarem oderwania Podola i Wołynia i przyłączenia do Rzeczypospolitej Polskiej. W pewnej chwili tak jakbym zapomniała, gdzie jestem. Mówiłam o miłości Boga i Ojczyzny, jakie to szczęście kochać Boga z całego serca, być tylko dla Boga i z Nim. Jak słodko kochać Ojczyznę - Matkę drogą i jej służyć. Zielone światło lampy padało na nisko pochyloną głowę śledczego i jego bladą twarz. Długie milczenie. Potem wstał - podszedł do mnie i powiedział: "O, dziewczęta Polki, o Matki Polki, zawsze jesteście te same. Wierne Bogu i Ojczyźnie do ostatniego tchu. Ale w tym, co obecnie na was idzie, zginiecie wszystkie. Zginiecie wszyscy... Będę cię bronił, panienko".

Z teki moich spraw wyciągał coraz to inny papier mówiąc: "Za to szubienica", "Za to kopalnie Sybiru" itd. Przy mnie podał te wyciągnięte papiery i prosił, żebym nie pogardziła szklanką gorącej herbaty z jego ręki. Odprowadził mnie do drzwi, prosił: "Wiem, że się modlisz, pamiętaj o mnie"/jego nazwisko - Szpakowski/.

Ponieważ piszę te wspomnienia dla Ojca, to mogę powiedzieć, że mając 15 lat spowiadałam się z całego życia i złożyłam ślub dziewictwa, że moje serce i całe życie poświęcę Bogu. Ojciec, byłam temu wierna, ale jak wiernym okazał się Bóg! W rok później byłam już w Rosji. Przeszłam przez morze gwałtów i zepsucia, ale Bóg był tak wierny, strzegł i osłaniał ten mój ślub, tak że nikt nigdy, nawet słowem, nie ubliżył mi i godności ślubowanej Bogu. Tak bardzo za tę łaskę Panu Bogu dziękuję.

Takie jasne i niezapomniane wspomnienie zostało mi z więzienia śledczego w Płoskirowie /dziś to miasto nazywa się Chmielnickij/. Kiedy byłam w tej izbie więziennej natłoczono

nej Polkami, pewnej nocy otworzyły się drzwi i usłyszałam swoje nazwisko. Żołnierz, który po mnie nadszedł, powiedział: "Jeśli są tu jakieś jej rzeczy, to zabiorę wszystkie, bo ona nigdy już nie wróci". Wysłałam za nim. "Tak, to pod krwawą piwnicę". Zadrżałam. Kazali zaczekać. Droga Matko Boża i moja Matko! /Miałam kilka miesięcy, kiedy umierająca moja mama oddała swoją małą córeczkę Matce Bożej na wychowanie/. Droga Matko Boża i Matko moja! Wiem, że stałaś ze mną i byłaś moją wiarą i miłością.

Długo tak stałam i czekałam... Po paru godzinach przyszedł żołnierz z rozkazem: "Pod konwojem w drogę do więzienia w Kijowie".

Więzienie śledcze w Kijowie przepełnione było Polakami i Polkami Wołynia i Winnicy: biskupi, księża, kwiat polskiej inteligencji, służba kościelna, bractwo tercjarzy i polski Lud Boży. Byłam w bloku pojedynczych cel, a właściwie nor kamiennych bez okien. Tylko z sufitu wążutki okratowany kawałek szyby, kilka desek do siedzenia albo do spania. Głód, nocne śledztwa. Napiszę o takim śledztwie, w którym zobaczyłam dobrego człowieka. Dowiedzieli mnie nocą do jakiegoś dalekiego gmachu więziennego. Trzeba było po wążutkach krętych schodach spuszczać się do podziemia. Wszyscy wiedzieli, że takie podziemia są i kogo i po co tam sprowadzają. Były to krwawe podziemia, okrutnych śledztw i egzekucji rewolucyjnej "Czeka". W podziemiach zakończył szlachetne życie p. Strutyński, piękny młodzieniec o jasnych włosach i zawsze w ciemnobłękitnym garniturze. Pan Strutyński to był inspektor Polskiej Macierzy Szkolnej na Kijowszczyznę, Winnicę, Wołyń i Podole. Podziemie było wielkie, długie, wąskie sale, a w nich drabiny, liny, sznury, haki, jakieś nieznanne maszyny, krew. Szłam... a jeszcze dziś, kiedy to piszę i wspominam drogę do podziemia, to bije przerażone serce i duch ustaje. W ostatnim podziemiu kazali iść po schodkach, nie wiedziałem dokąd i po co. Wysłałam na korytarz, a potem do pokoju śledczego. Śledczy podał mi papier do podpisania. Przeczytałam. Było to niby podanie ode mnie, że całą swoją pracę nauczycielską i udział w tajnej organizacji w celu oderwania Podola, Wołynia i Winnicy od Związku Radzieckiego i zbrojne oddanie tych ziem Polsce prowadziłam pod wpływem biskupa i księdza Jana Ładygo. Powiedziałam, że podpisać tego nie mogę, bo żadnej organizacji nie ma, za swoją pracę nauczycielską odpowiadam sama. Śledczy zapytał mnie wtedy, czy po drodze w podziemiach wszystko dobrze widziałam i czy wiem, co mnie czeka. Odpowiedziałam, że wszystko widziałam i wiem, co mnie czeka, ale tego papieru podpisać nie mogę, nie pozwala mi na to moje sumienie. Upadła mi wtedy rękawiczka. Chciałam ją podnieść, ale śledczy, ubrany w groźny mundur krwawej "Czeka", krzyknął na żołnierza konwojenta: "Podnieś i podaj rękawiczkę! Tę panienkę, tę kobietę trzeba szanować". Żołnierz podniósł i salutując przede mną podał mi rękawiczkę.

Z tego więzienia w Kijowie ze wzruszeniem wspominam żołnierza, który z kotła nalewał do blaszanki kartoflankę. Pewnego dnia, kiedy podeszłam po zupę, wstał, zza pieca wyciągnął pogrzebacz i z dna kotła wyszukał jakąś kość z ochłapkami mięsa, a potem wrzucił do mojej blaszanki. Powiedział: "Masz, to dla ciebie, tylko zeżryj to sama, bo zdechniesz. I tak ci się już wiele nie należy". Utkwiły mi w pamięci te dobre słowa i poczciwa, szeroka twarz rosyjskiego chłopca, ubranego w srogi mundur krwawej "Czeka".

Pewnego wieczora zazgrzytał klucz w mojej celi. Wszedł intendent więzienia, młody Żyd. Podał mi dużą torbę cebuli. "Grozi ci szkorbut więzienny, czyli gangrena szczęk z gło-

du. Ta cebula poratuje twoje zęby. Tylko mnie nie wydaj, że to ja ci przyniosłem, bo za to zginę".

Żegnaj, noro kamienna, tyś jedna była godna gościć w sobie Ukrzyżowanego Zbawiciela! O, żegnaj i witaj, celo najdroższa, jedyna duszy powiernico!

Więzienie śledcze w Charkowie. Proces sądowy Najwyższego Trybunału Wojennego Ukrainńskiej Republiki Radzieckiej. Na ławie oskarżonych dwóch biskupów, ksiądz dziekan, kilkunastu kapłanów i kilkadziesiąt osób - kwiat inteligencji i ludu polskiego na Kresach Wschodnich.

Aktu oskarżenia nie umiem dosłownie powtórzyć. Wszyscy oskarżeni byli o udział w podziemnej organizacji, mającej na celu oderwanie Kresów Wschodnich od ZSRR i przyłączenie ich do Polski, a będącej na usługach wywiadu polskiego i konsulatu polskiego w Kijowie, oraz przygotowywanie gruntu na zbrojne wkroczenie wojsk polskich. Wielu oskarżonym groziła kara śmierci, przede wszystkim obu biskupom, księdzu dziekanowi, księżom i kilkunastu osobom świeckim.

Sąd trwał 3 dni. Każdemu oskarżonemu wolno było powiedzieć ostatnie słowo. Przewód sądowy i wszystkie śledztwa były prowadzone w języku rosyjskim, a nie ukraińskim, choć cała sprawa była na Ukrainie.

Kiedy przyszła kolej na moje ostatnie słowo, głos zabrał prokurator: "Oskarżona jest młoda na to, aby odpowiadać za kilkanaście lat pracy. Za jej pracę powinna odpowiadać i być karana jej władza, to jest ksiądz biskup i ksiądz dziekan, bo pod ich wpływem pracowała". Odpowiedziałam, że o żadnej organizacji nie słyszałam, bo takiej organizacji nie było i nie ma. Pracę nauczycielską prowadziłam zgodnie ze swoim sumieniem i z moimi przekonaniemami.

Tu właśnie przerwał mi prokurator: "Pierwsza praca i przekonanie prawie od kołyski?" Odpowiedziałam "Tak, mam je od kołyski i za swoją pracę nauczycielską odpowiadam sama, bo pod niczym wpływem nie pracowałam". Kiedy wracałam na ławę oskarżonych, słyszałam na sali takie głosy: "Jaka to dziwna kobieta. Prokurator ją broni, a ona sama odrzuca obronę".

Wyroki sądu były takie: obaj biskupi, ksiądz dziekan Jan Ładygo i kilku kapłanów zostali skazani na śmierć. Kilkanaście osób z inteligencji i ludu polskiego także...

Ja dostałam taki wyrok: 5 lat więzienia, a potem zesłanie z pozbawieniem praw obywatelskich.

Wyroki te odczytane były 27 czerwca 1930 r. W tym dniu przypadała uroczystość Najświętszego Serca Pana Jezusa. "Niech będzie Bóg uwielbiony..."

Po skończonym procesie sądowym odesłano mnie do więzienia w Płoskirowie na Podolu. Później dowiedziałam się, że na sali sądowej byli obecni przedstawiciele Konsulatu Polskiego w Kijowie. Oni to odszukali moją rodzinę w Warszawie.

Obecnie, kiedy wspominam te niezapomniane dni, tygodnie, miesiące więzień śledczych w Płoskirowie, Kijowie i Charkowie - ze zdumieniem, czcią, skruczą i miłością rozważam słowa Chrystusa u św. Mateusza rozdział 10 w. 7 i 20. "Będą was wydawać sądom i w swych synagogach, będą was biczować. Nawet przed namiestników i królów będą was wodzić z mego powodu, na świadectwo im i poganom. Kiedy was wydadzą, nie martwić się o

to, jak ani co macie mówić. W owej bowiem godzinie będzie wam podane, co macie mówić... lecz Duch Ojca waszego będzie mówił przez was".

Zdziwiłam się bardzo, bo z więzienia w Charkowie kazano mi zgłosić się do więzienia w Płoskirowie /obecnie miasto Chmielnickij/. Jechałam sama, bez konwoju wojskowego. Zgłosiłam się do więzienia. Naczelnik więzienia i kilku obecnych urzędników witali mnie jak człowieka wolnego. Nie rozumiałam, co to wszystko znaczy. Niby to z wielką życzliwością powiedzieli mi, że mogę wracać do domu na 2 tygodnie. Mogę też w ogóle do więzienia nie wracać, mogę wrócić do pracy nauczycielskiej, a nawet zostać inspektorem wszystkich szkół polskich Podola, Wołynia i Kijowszczyzny. Mogę zająć się i jawnie zorganizować Polskie Seminarium Nauczycielskie, ale pod warunkiem, że na zebraniach ludności polskiej opowiem im o zachowaniu się w sądzie w Charkowie dwu załamanych kapłanów.

Znałam ich i przedtem. Wiedziałam, że nie wytrzymali krwawego terroru kilku lat rewolucji 1917 r. Obaj byli jeszcze na wolności, psychicznie chorzy. Wykorzystali psychicznie chorych kapłanów. Więzieniem i śledztwem doprowadzili ich do całkowitego załamania. Zeznania tych umyślowo chorych ludzi były podstawą do skazania na śmierć dwóch biskupów, księdza dziekana, kapłanów i wielu z inteligencji i ludu polskiego Kresów Wschodnich.

Odpowiedziałam, że zostaję w więzieniu, bo ja o tym opowiadać nie będę. Kazali mi pójść do domu na 2 tygodnie.

Poszłam do mieszkania mojego przy szkole. Ciotunia myślała, że wróciłam już do niej zupełnie. Płakała ze szczęścia, a mnie dusza i serce rwały się z bólu, bo wiedziałam, że przecież zostawię ją samą, 80-letnią staruszkę, bez dachu nad głową i środków do życia. Zostawię ją, najdroższą, ukochaną, która wychowała mnie od roku życia po śmierci mojej matki. A przecież mogłam zostać i urządzić życie sobie i jej. Straszne 14 dni. Pod koniec powiedziałam jej, że muszę odjechać. Błagała mnie: "Zabierz mnie ze sobą" - i wtedy powiedziałam jej całą prawdę o wyroku, o więzieniu, o zesłaniu, o pozbawieniu praw obywatelskich i że jej zabrać ze sobą nie mogę. Ale powiedziałam też, że mogę z nią zostać, być nauczycielem, inspektorem, ale muszę wtedy na wszystkich zebraniach ocalałej jeszcze ludności polskiej na Kresach odbierać im wiarę, miłość Ojczyzny, truć umysły i serca tych, których tak bardzo ukochałam. Za taką cenę mogę z nią zostać. Ciotunia zawołała: "O, tego ci robić nie wolno! Zostaw mnie samą i nie martw się. Bóg jest ze mną, On mnie nie opuści. Bądź wierną Bogu i Ojczyźnie. Tyś mój skarb najdroższy, więc Bogu cię oddaję". Obie płakałyśmy bardzo. Tego rozstania z nią do dziś jeszcze przeżyć nie mogę.

Zostawiłam ją samą, osiemdziesięcioletnią, chorą na kataraktę, bez dachu i środków do życia. Tylko Pan Bóg wie, jaka to była ofiara jej i moja. Kiedy wychodziłam, za drzwiami usłyszałam jej bolesny jęk i łoskot padającego ciała... Nie zawróciłam. Nie podniosłam jej, bo wiedziałam, że jeszcze chwila, a zostanę z nią, na jej i moją wieczną mękę. Pędem biegłam do ponurego domu z kamienną norą i pokojem, którego zakratowane okno patrzyło na krwawą piwnicę... Kiedy meldowałam się, że jestem i zostaję, zdziwienie naczelnika było wielkie, tylko jeden z urzędników powiedział: "Radziłem wam nie zaczepiać jej, bo ona nie zrobi tego, co jest niezgodne z jej sumieniem, sumieniem Polki, katoliczki".

Taki był początek mojego kilkuletniego więzienia i zesłania. Po pewnym czasie dobrzy Polacy, ojcowie moich uczniów i uczennic, podali mi wiadomość, że bym się o Ciotunię nie

martwiła, bo zabrał ją do siebie Bartłomiej Rożek, ojciec Antosi i Stasia. Ciotunia miała troskliwą opiekę w tym znacym polskim domu. Żył jeszcze niecały rok. Po śmierci pan Rożek pochował ją na katolickim cmentarzu w Satanowie.

Rok 1930 był rokiem kolejnej likwidacji polskości na Kresach Wschodnich. Kobiety i mężczyźni byli setkami rozstrzeliwani i wywożeni na zesłanie. Rozstrzelano też polskich nauczycieli, np. Antoninę Rożek i Stanisława Rożka, którzy uczyli w polskich szkołach na Podolu.

Z tych setek polskich chłopców i dziewczynek, które uczyłam, ocalał tylko jeden i po latach zesłania wrócił do Satanowa. Był to Tadzio Hrynkiewicz.

Ci, którzy zostawali przy życiu i wracali z zesłania, pozostawali wierni Bogu i Kościołowi, tworząc parafie w cmentarnych kaplicach.

10. Ostatni wieczór wigilijny na zesłaniu w roku 1934.

55 lat temu, 24 grudnia, po ciężkiej całodziennej pracy, wracałam przez śnieżne zasy kilka kilometrów na nocleg do rudery w starym zrujnowanym opuszczonym młynie w lesie nad rzeką. Z trudem wyciągałam nogi ze zwałów śniegu. Pamiętałam, że to święty wieczór wigilijny, że tam, na ukochanych Kresach, w ukochanej Warszawie, święta wieczerza rodzinna. Opłatek, Pasterka... Taki ból serca i taka tęsknota. Po drodze urwałam gałązkę syberyjskiej sosny w kształcie krzyżyka. Nie pamiętam, czy tego dnia jadłam chleb, pewno nie, bo go nie było. Na desce, która zastępowała stół, położyłam kawałek papieru, a na nim gałązkę sosnową - krzyżyk. Uklękałam i temu krzyżykowi śpiewałam "Bóg się rodzi", "Wśród nocnej ciszy", "Anioł pasterzom mówił"... W pustej ruderze nie było nikogo, tylko gromady szczurów. Przy tym krzyżyku czytałam, po raz któryś już, list od pani Katarzyny Pieszkowej, prezeski Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Moskwie. Pisała mi, że o moim powrocie do kraju mowy być nie może. Żeby nie pogarszać mojej i tak groźnej sytuacji, zamilkną i więcej odzywać się nie będą. To jest ostatni do mnie list. A więc nigdy nie wrócę już do kraju. Nigdy już nie zobaczę Ojca, Brata, Rodziny, ukochanej Warszawy... I nigdy już, o mój Boże, nie będę Twoją zakonnicą... I to było właśnie najdroższe, najtrudniejsze, najcięższe oddanie.

Wiedziałam, co mnie czeka: szubienica, rozstrzał, nowe więzienie, głodowa puchlina i stokroć gorsza od wszystkiego zesłańcza poniewierka, bo byłam pozbawiona wszelkich praw obywatelskich. Upadłam krzyżem na ziemię, twarzą w proch na deski, resztki podłogi. Walczyłam ze sobą o zgodzeniu się przyjęcia woli bożej. Wszystko oddałam, wszystko przyjąłam, zgadzałam się na wszystko, co jest wolą bożą, do końca. I wtedy oczami duszy zobaczyłam wielki krzyż. Krzyż rozciągał swe ramiona na całą tę nieszczęsną ziemię, ogarniał cały wschód: Japonię, Chiny, Indie, Australię, aż po krańce dwóch oceanów. Na całej tej przestrzeni od korzeni krzyża wyrastały bujne zielone pędy... A w duszy cichy głos: "Miłością wieczną umiłowalem to wszystko, wszystko to wam oddaję! Weź ten krzyż..." Ten cichy głos wewnętrzny powiedział, żeby napisać podanie do p. Stalina i do p. Jagody, szefa rewolucyjnej krwawej "Czeka".

Wiedziałam, że takie pisanie to zagłądanie do paszczy lwa. Jednak napisałam, że jestem Polką, wierzącą katoliczką, urodzoną i wychowaną w Warszawie, wywiezioną do Rosji w czasie I wojny światowej. Jako nauczycielka pracowałam w szkołach wychodźstwa polskiego na Syberii, w Domu Sierot Wychodźstwa Polskiego w Samarze i kilkanaście lat w polskich szkołach na Podolu. Za moją pracę nauczycielską, zgodną z moim sumieniem, zostałam uwięziona i wyrokiem Najwyższego Rewolucyjnego Sądu Wojennego w Charkowie skazana zostałam na 5 lat więzienia, a potem na zesłanie z pozbawieniem wszystkich praw obywatelskich. Proszę o pozwolenie na powrót do kraju, do Warszawy, bo pragnę służyć Bogu, zostać zakonnicą, a tutaj zakonów nie ma... W kilka miesięcy później dostałam depeszę od konsula polskiego w Moskwie. Konsul zawiadamiał mnie, że p. Stalin i p. Jagoda wydali dla mnie paszport i pozwolenie na wyjazd do Kraju. W depeszy było jeszcze, że przysyłają pieniądze na bilet do Moskwy i żeby natychmiast przyjechać. Pan konsul w Moskwie powiedział mi: "Pod jaką szczęśliwą gwiazdą pani się urodziła, bo takiego pozwolenia nikt jeszcze nie otrzymał". Wracałam, do Warszawy w wagonie konsulatu polskiego, bo p. konsul obawiał się, że z innego wagonu znowu mnie zabiorą do innego więzienia. Na Święta Bożego Narodzenia w roku 1935 byłam już na rodzinnej wieczerzy wigilijnej i na Pasterce w Warszawie. Zaraz zgłosiłam się do Lasek i Matka Elżbieta Czacka przyjęła mnie i nazaczyła święto ofiarowania Pana Jezusa-Matki Bożej Gromnicznej 2.II. 1936 r. na rozpoczęcie aspiratu. Myślę, że powinnam jeszcze napisać o tym, że o swoich przeżyciach nie mówiłam nikomu, bo były to najdroższe tajemnice mojej duszy.

Wszystkich więzień i miejsc zesłania dobrze nie pamiętam. Zapamiętałam jedynie takie nazwy: Siergiejewsk, Bugurusłanskiego rajona, Nowaja Diegtianka, Kozłowskiego rajona, Staraja Diegtianka Tambowskiej obłasti, Płoskirów, Kijów, Charków, Samara, Moskwa, Wołogda, Penza, Saratow. Innych różnych drobnych miejscowości nie pamiętam.

11. Kiedy i jak straciłam wzrok.

Ostatnie lata I wojny światowej i lata rewolucji leninowsko-stalinowskiej to lata różnych epidemii. Na przykład tyfusu były trzy rodzaje: tyfus plamisty, tyfus brzuszny i tyfus powrotny. Tyfus powrotny, bo wracał kilka razy z temperaturą 39-41°C.

Satanów miał dwóch lekarzy: młodego Rosjanina p. Kolewa i p. Ignatowicza, starszego wiekiem Polaka. Zachorowałam. Gorączka 40-41°C. Po kilku dniach powiedzieli mi lekarze, że to tyfus powrotny i że lekarstw nawet najprostszyc nie ma. Musimy powiedzieć prawdę: stan jest bardzo ciężki. Proszę pomyśleć o staruszce Ciotuni, o opiece dla niej, kiedy pani już nie będzie. Nie zostawimy pani, ale ratować nie mamy czym. Pierwszy atak tyfusu trwał 8 dni. Po 5 dniach drugi powrót z gorączką 39-41°C trwał również 8 dni. W gorączkowych majakach, przerażona inspektorami, uciekałam do Warszawy. Po 5 dniach trzeci atak, gorączka 40°C. Kiedy się zbliżał trzeci kryzys, lekarze powiedzieli księdzu dziekanowi, że stan agonalny, ostatnia noc życia. Ksiądz dziekan powiedział o tym parafianom, bo przyszli właśnie. Wtedy odzyskiwałam przytomność. Zobaczyłam wiele matek i ojców z zapalonymi gromnicami, odmawiali modlitwy za konających. Kobiety płakały i głośno zawodziły: "Komu nas pani zostawia, co będzie z naszymi dziećmi?" Jeden z ojców podszedł i

powiedział: "W imieniu całej parafii niech pani Bóg zapłaci za serce kochające i za te straszne lata cierpień wśród nas i dla nas". A do kobiet powiedział: "Zamiast płakać, na kolanach błagać Boga o życie naszej pani". I znowu straciłam przytomność. Mówiono mi potem, że w trzecim kryzysie pękła jakaś żyłka. Lewa połowa ciała była sina i martwa. Po takich trzech dobach otworzyłam oczy i zobaczyłam obu lekarzy. Uśmiechnęłam się i powitałam każdego. Wtedy młody Rosjanin krzyknął: "Ona jeszcze mówi i uśmiecha się, tego zupełnie zrozumieć nie mogę". A lekarz Polak powiedział: "A ja rozumiem, wiara góry przenosi. Trzy doby na adoracji Najświętszego Sakramentu parafia prosi o życie nauczycielki". Po dwóch dniach znowu straciłam przytomność. Nastąpiło obustronne, opadowe zapalenie płuc potyfusowc. I znowu ci pełni poświęcenia lekarze na zmianę czuwali dzień i noc i kropłą po kropli wody z miodem ratowali mnie, bo nic innego nie mieli. Kiedy zaczęłam wstawać, p. Kolew wołał: "Znowu nic nie rozumiem, ksiądz uczy, że dusza jest nieśmiertelna, a tu widzę ciało nieśmiertelne, bo ona nic się nie zmieniła i kwitnie urokiem młodości. Tego nie rozumiem". A doktor Polak powiedział: "Zapisz się do polskiej szkoły, ona cię nauczy katechizmu, wtedy wszystko będziesz rozumiał".

Po jakimś czasie zauważyłam, że wieczorami źle widzę. Na prośbę Ciotuni pojechałam do Kijowa do profesora okulisty, znanego i cenionego, o wszechświatowej sławie. Profesor, wyrzucony z domu, mieszkał i przyjmował w małym pokoju, prawie dziurze. Na środkowej ścianie oświetlona wieczną lampką jaśniała ikona Matki Bożej. Miałam lat 23, ale wyglądałam na 17, więc powiedział: "Moje dziecko, ty się musisz trzymać bardzo blisko Pana Boga, bo nie będziesz widziała, siatkówka zrujnowana, a to co zostało, w naszych warunkach życia, długo służyć nie będzie". Ze wzruszeniem, prawie ze łzami wspominam profesora, Rosjanina, który z taką ojcowską dobrocią i miłością powiedział mi, młodej dziewczynie, prawdę o jej ślepotcie. Uderzył grom, ale nikomu, nawet Ciotuni, o tym nie powiedziałam, bo po co było martwić, to były przerażające lata terroru. W więzieniach śledczych straciłam zupełnie widzenie boczne i bardzo słabo widziałam wprost.

Którejś nocy kazano mi iść na śledztwo do dalszego gmachu więziennego, nie widziałam nawet drogi. Zboczyłam i tłumaczyłam żołnierzowi, że źle widzę, ale on myślał, że chcę uciekać. Walił karabinem i krzyczał: "Nie udawaj - idź, bo cię zastrzelę". Szłam, pewno znowu zbłądziłam, bo usłyszałam drugiego żołnierza: "Stój, bo będę strzelał". W tych podwójnych ciemnościach, nocy i wzroku, doszłam na okrutne, przerażające śledztwo. Takie nocne wędrówki na śledztwo powtarzały się szereg razy, stały się one jednak coraz bardziej męczące, bo widziałam coraz słabiej. W macierzyńskie ręce Matki Bożej oddałam moją ślepotę, a Matka Boża doprowadziła mnie do Lasek. Jeszcze trochę wprost widziałam, ale bardzo słabo. "Błogosławcie Pana - światło i ciemności... Błogosławcie Pana - gromy, burze i chmury". Burze, gromy, tyle ich było! Panie, bądź błogosławiony... Pięknie o tym mówi Słowacki w "Ojcu Zadżumionych":

"O, bądźże ty mi pochwalony, Allah,
szumem pożaru, co miasta zapala,
trzęsieniem ziemi, co grody wywraca,
zarazą, która dzieci mi wytraca
i bierze syny z łona rodzicielki.

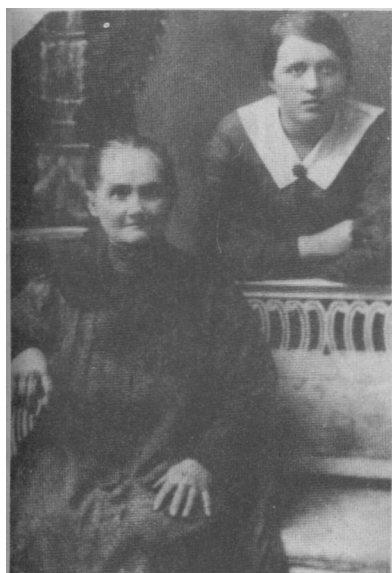
O Allah, Akbar Allah, jakiś wielki".

Bądź błogosławiony przez wielkie chmury i ciemności... Nie widzę nic i nikogo, ale to nic, bo choć nie widzę nic i nie czuję nic, wiarą wiem, że za tymi chmurami świeci promienne słońce. O Boże, o Boskie Słońce, jedyna miłości mego serca, mego życia. o Panie Wszechmocny i Potężny, wybacz, że ja grzesznik, proch ziemi, robak najlichszy, ośmielam się mówić do Ciebie i prosić: oświeć i rozpal serca miłością miliony nieszczęśliwych braci moich, ślepych na duszy albo ślepych na ciele i tych najnieszczęśliwszych, którzy na duszy i ciele są ślepi. Proszę Cię o miliony serc czystych, w których Ojciec z Synem będzie mieszkał i wicherzał. A mnie pozwól czuć u drzwi tych serc i radować się ich szczęściem. O wielki Boże, wybacz, że ja, proch marny, ośmielam się znowu mówić do Ciebie i prosić Cię. Proszę Cię o łaski i dary modlitwy zjednoczenia z Bogiem dla milionów dusz jako hymn dziękczynienia i uwielbienia Trójcy Przenajświętszej. O Boże, bądź błogosławiony w tych moich ciemnościach nawet podwójnych. To nic. To wszystko nic... Byle byś Ty był znany, kochany i uwielbiony. O wielki Boże, wybacz, że ośmielam się prosić o miliony, ale i to wiem, że ufność w Bogu tak dobrym, miłosiernym, a tak potężnym i wszechmocnym nigdy nie jest zbyt wielka.

(1989)

PRZYPIS:

1 Ks. Infułat dr Stanisław Kobyłecki (1902-1987), 60 lat w kapłaństwie. Protonotariusz Apostolski, wikariusz Kapituły Diecezji Łuckiej, prałat dziekan Łuckiej Kapituły Katechalczej. Kapelan AK we Włodzimierzu (Wołyń), odznaczony Krzyżem walecznych.



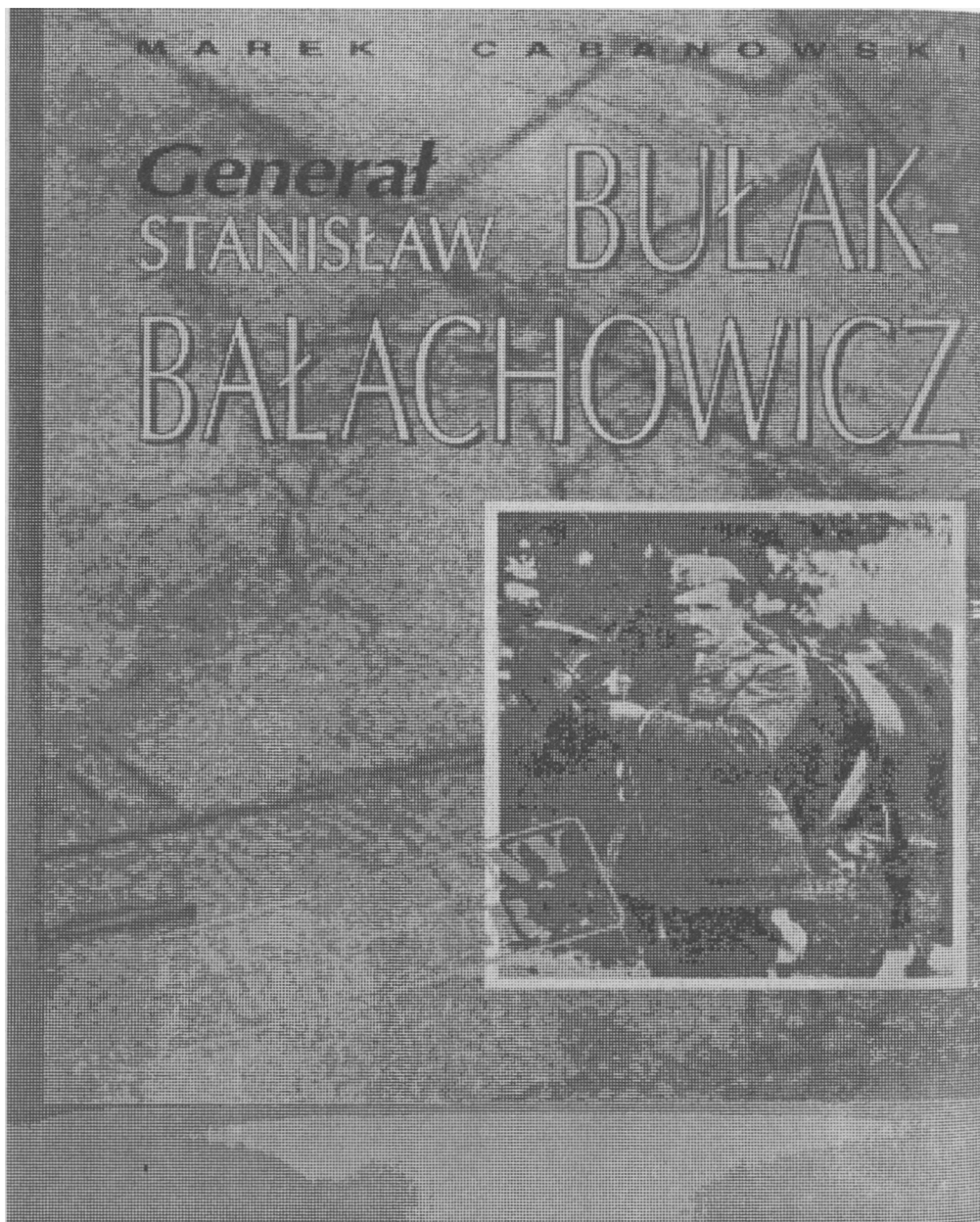
Zofia Brudzińska z Cioteczka, ok. 1917 r. (fot. ze zbiorów M.Piekarskiego).



Zofia Brudzińska - siostra Jana. Fotografia ok. 1980 r. (ze zbiorów M.Piekarskiego).



Kościół w Satanowie, ok. 1920 r. (fot. - ze zbiorów M.Piekarskiego).



**Już do nabycia w Księgarni Muzeum Niepodległości
w Warszawie
(Al. Solidarności 62)**